

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Andrzej Gwizdowski <1959-1964>



"...Mógłbym całą książkę napisać o barwnych wydarzeniach z tamtych lat..."

Po ukończeniu szkoły podstawowej postanowiłem całą moją przyszłość związać z leśnictwem.

Okazało się to niełatwe.

Zostałem dopuszczony do egzaminu wstępnego do Technikum Leśnego w Białowieży.

Było to w roku bodajże 1957.

Egzamin zdałem, jednak do szkoły nie zostałem przyjęty ze względu na brak miejsc.

Ówczesny dyrektor pan Mokrzycki poradził nam [a w podobnej do mnie sytuacji było jeszcze sześciu kolegów] złożyć papiery do Technikum Drzewnego, gdzie mieliśmy zostać przyjęci bez egzaminów, a po roku miało się dla nas znaleźć miejsce w Białowieży.

Do Technikum Drzewnego w Żywcu nie przyjęto mnie, gdyż byłem za młody, więc by nie marnować czasu rozpocząłem naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Busku - Zdroju,

w którym zaliczyłem dwa lata.

Chciałem ponownie spróbować dostać się do TL w Białowieży i wtedy niespodziewanie otrzymałem informację z Mojej Woli o dopuszczeniu mnie do egzaminu wstępnego.

Egzamin zdałem dobrze i zostałem przyjęty.

Oprócz zainteresowań związanych z wybranym kierunkiem, grałem na instrumentach dętych

I fakt ten miał duży wpływ na moje mojawolskie życie.

Po rozpoczęciu roku szkolnego zaczęliśmy organizować zespół muzyczny.

Przez pół roku z trudem montowaliśmy pierwszy skład.

Co roku musieliśmy ten skład modernizować, bo jedni odchodzili lub wykazywali zainteresowanie, aż wreszcie powstał ten upragniony zespół.

Grali w nim również tzw. "pożyczani" koledzy z Ostrowa.

Pierwsze tygodnie pobytu w internacie były trudne.

Wychowawcą był wtedy pan Stanisław Brzeziński, który tak "uprzyjemnił" mi życie, że byłem skłonny wracać do ogólniaka.

Później, aż do momentu jego odejścia do Tułowic, żyliśmy w przyjaźni.

Kierownikiem internatu był pan Stanasiuk.

Zostałem też wybrany starszym klasy i tę funkcję sprawowałem aż do matury

[przede mną starszym klasy był Marian Przybylski].

Początkowe trudności zniknęły bez śladu, a mój pobyt w Mojej Woli stawał się coraz bardziej przyjemny, wesoły i pożyteczny.

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator
piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Było tak dzięki przychylności i zrozumieniu, jakie okazowali wszyscy nauczyciele i wychowawcy, zastępując nam rodziców i otaczając troskliwą opieką.

Jednak nie wszystko było tak piękne i bez troskie.

Pewnego wieczoru dałem się namówić na spacer po parku, zakończony małym wypadem do przyszkolnego ogrodnictwa po pomidory.

Na drugi dzień zostaliśmy wezwani do kancelarii.

Nasz wychowawca - profesor Wiatr - już wszystkim wiedział.

Sprawa zrobiła się dla nas bardzo nieprzyjemna i zakończyła się wezwaniem rodziców.

Aktywną działalność prowadził w szkole kabaret.

Do zespołu kierowanego przez panią profesor Staw należeli przeważnie uczniowie z klasy IIa: I. Kamiński, J. Kisiel, I. Król, - innych już nie pamiętam.

Wyjeżdżaliśmy razem do okolicznych wiosek.

Po występach odbywały się potańcówki, a do tańca przygrywał nasz zespół muzyczny.

Graliśmy również zarobkowo na różnych zabawach publicznych i weselach.

Po każdej z takich imprez miałem trudne przejścia z profesorem Zaprzalskim,

który na kilometr wyczuwał zapach alkoholu.

Po kilku dniach dochodził do wniosku, że po tylu godzinach gry na trąbce trzeba się jednak czegoś napić.

Podczas tych imprez nawiązywało się wiele znajomości z dziewczynami, co wiązało się później z częstymi "oddaleniami" z internatu do pobliskich wsi.

Pamiętam pewną "imprezę" w Szklarce, w domu, w którym były trzy córki.

Znalazł się tam także komendant MO Józef Cierpka.

Wesoła zabawa ze śpiewem i grą na akordeonie trwała do późna.

Była zima, zawieja, a my na skróty koło leśniczówki Mariak wracaliśmy do internatu.

Kierownik Stanasiuk już na nas czekał.

Skończyło się obniżeniem stypendium.

W czasie pierwszych wakacji wyjechaliśmy na praktyki do Nadleśnictwa Syców.

Naszym opiekunem był profesor Adamczewski.

W lipcu uczestniczyliśmy w festynie, który odbywał się w parku.

Grał zespół z Domu Kultury.

Zaproponowałem, że ich zstąpimy, na co chętnie się zgodzili.

W niedługim czasie zorganizowaliśmy zespół i zabawa toczyła się dalej.

Zespół z Sycowa, wyluzowany, raczył się trunkami.

Musieliśmy grać do końca imprezy, co zakończyło się awanturą o honorarium.

W efekcie tej sprawy odstąpiono nam umowę na obsługę zabawy aż w województwie opolskim. Pojechaliśmy tam bez uzgodnienia z opiekunem.

Nie obyło się bez drobnej przygody, Wojtek Tereszko przysnął w trakcie oczekiwania na pociąg, a my zapomnieliśmy o nim.

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Trzeba było zatrzymać pociąg, za co musieliśmy grać przez całą drogę umilając podróż konduktorowi, z którego uprzejmości skorzystaliśmy.

Pan profesor Adamczewski bardzo się gniewał, ale w końcu dostaliśmy "rozgrzeszenie".

Z Sycowa pamiętam jeszcze historię, kiedy Mściniu Brodała, nie mając za co pójść do kawiarni, założył się z nami, że w piżamie przejdzie wokół rynku i wejdzie do lokalu.

Czekaliśmy tam na niego.

Przyszedł, usiadł, skonsumował przedmiot zakładu, a cała kawiarnia "pękała ze śmiechu".

Często grałem w Ostrowie jako "pożyczony", bo zespole brakowało tam trębacza.

Udawałem się do dyrektora Leraczyka i poprosiłem o przepustkę na koncert zespołu jazzowego.

Dyrektor mówiąc: "...Ty psiakrętne łatyndo, nie za często te zespoły koncertują?..."

wyrażał zgodę i podpisywał przepustkę.

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator
piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Z rozrzewnieniem wspominam te czasy, miałem wówczas więcej pieniędzy, niż kiedy pracowałem.

Pełniąc pewnego razu funkcję dyżurnego w internacie byłem naocznym świadkiem zmiany na stanowisku dyrektora.

Osobiście poprosiłem dyrektora Wiatra do internatu, gdzie w kancelarii odbyło się wręczenie nominacji, a jednocześnie odwołanie dyrektora Leraczyka..

Przykre to dla mnie było wydarzenie, ale takie jest życie.

W 1963 roku pojechaliśmy na praktyki zarządzania lasu do Nadleśnictwa Świekatówko.

OZLP Toruń, 40 km od Bydgoszczy.

Byli ze mną Janusz Sójka i Marian Przybylski.

Przeżyliśmy tam ciężkie czasy, bo chociaż mieliśmy pieniądze, nie było gdzie i co kupić.

Mieszkaliśmy w Borach Tucholskich w środku kompleksu leśnego.

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator
piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Były tam tylko dwa domy, a sąsiad gospodarza, u którego mieszkaliśmy,

był chory psychicznie i dostawał ataków szału.

Gdy gospodyni poczęstowała nas obiadem, to na drugi dzień musieliśmy za to

związać hektar żyta, a upały tego lata były wyjątkowe. Nie było lekko.

Wyjechaliśmy pięć dni przed terminem.

Do nikogo nie mogliśmy mieć pretensji, ponieważ sami sobie wybraliśmy to miejsce praktyk.

W ramach współpracy z Nadleśnictwem Moja Wola brałem udział w ocenie szkółek i upraw.

Miałem okazję poznać wszystkich leśniczych oraz wspaniałego leśnika, jakim był ówczesny nadleśniczy, mgr.inż. Henryk Stekiel.

Byli to nie tylko dobrzy fachowcy, ale także wspaniali ludzie.

Nadleśniczy grał na akordeonie i pianinie i nieraz grywaliśmy na balach w nadleśnictwie.

Praktyki wyjazdowe natomiast nadal niezbyt nam się udawały.

Z hodowli lasu razem z M. Przybylskim i K. Świtalskim odbywaliśmy praktykę

W Nadleśnictwie Chojnów, OZLP Wrocław.

Trafiliśmy w środowisko przesiedleńców z Kresów Wschodnich, Greków i Jugosławian,

do Leśnictwa Modła.

Leśniczy Bolesław Żurawicki - bezpośredni opiekun praktyk - nie pozwalał nam oddalać się od leśniczówki ze względu na częste w okolicy awantury i bójki [opowiadano o żołnierzu,

Któremu na zabawie pierwszomajowej urznęli głowę].

Do leśniczówki przyjeżdżali oficerowie radzieccy na polowania..

Niedaleko było duże lotnisko i stąd ich tak częste wizyty.

Mimo niedogodności i ograniczeń ten pobyt na praktykach zaliczam do ciekawych i udanych.

Do bardzo udanych i atrakcyjnych należał pobyt w Nadleśnictwie Śnieżka,

Leśnictwo Miłków, w pobliżu Karpacza.

Po obowiązkowych zajęciach udawaliśmy się do miasta, aby się trochę rozerwać.

Naszym opiekunem był profesor Wiatr.

Dancingi w kawiarniach "Pod Krasnoludkami" i "Pod Wodospadem" nie należały do tanich.

Zasoby finansowe topniały prędko, wpadłem więc na pomysł, aby sprowadzić trąbkę.

Zaczęliśmy dawać "koncerciki" w kawiarni "Pod Wodospadem" [Wojtek Tereszko na pianinie, a ja na trąbce]. Pobyty w kawiarniach przestały być obciążeniem dla naszej kasy.

Nasz opiekun zainteresował się, skąd bierzemy pieniądze na tak częste pobyty w lokalach.

Zaproponowaliśmy więc, że zabierzemy go ze sobą.

Spędzaliśmy czas dość miło.

Dla mnie mogło to zakończyć się poważnymi konsekwencjami.

Poznałem dziewczynę, która okazała się mężatką, ale gotowa była rozpocząć nowe życie.

Dyplomacji wymagało zakończenie tej znajomości.

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator
piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Po latach okazało się, że była kuzynką mojej szkolnej koleżanki.

Jesienią wyjeżdżaliśmy na tygodniowe "wykopki" do PGR Kotowiecko.

Na początek dyrektor PGR zabijał dwie świnie, jedzenie było wspaniałe,

i mieli już w świetlicy telewizor.

Praca nie była ciężka, a umilały ją żarty, w które włączał się profesor Wiatr -

nasz opiekun.

Poznaliśmy tam też życie dziewcząt, które przyjeżdżały na prace sezonowe

i mieszkały w pokoju pod nami.

Przychodzili do nich podchmieleni traktorzyści.

Całe lata śmialiśmy się potem w internacie z prowadzonych przez okno rozmów.

Życie w internacie obfitowało w przeróżne wydarzenia.

Pewnego razu koledzy dla kawału schowali w łóżku Stasia Markowskiego żmiję w słoiku.

Reakcja Stasia po odsunięciu kołdry była tak gwałtowna, że biegiem "wypadliśmy" z pokoju, a ostatni "zarobił" taboretą w plecy.

Na szczęście nic się nie stało, chociaż mogło się to źle skończyć.

Przez krótki okres chodził do klasy "B" kolega z Poznania.

Z kilkoma innymi uczniami chodzili na stawy łapać żmije i sprzedawali skóry na wyroby galanteryjne.

Mile wspominam doktora Jana Łopuskiwego i jego barwne opowieści przy kominku o pobycie na Kresach i w azjatyckiej części ZSRR za Uralem.

Wspaniały człowiek, jak wszyscy pozostali profesorowie.

Pewnego dnia poszedłem zaliczać egzamin z hodowli lasu do domu profesora Zaprzalskiego,

co było często praktykowane.

Profesor siedział dostojnie w służbowym płaszczu, a mnie na chwilę udało się spojrzeć

pod stół. Profesor trzymał nogi w miednicy z ciepłą wodą. Ogarnął mnie tak niepohamowany śmiech, że profesor kazał mi przyjść na egzamin następnego dnia.

Koledzy w internacie też "pękali ze śmiechu", bo oczywiście nie zachowałem dyskrecji w tej sprawie.

Z profesorem Zaprzalskim miałem dużo do czynienia, gdyż był on w szkole odpowiedzialny za sprawy kulturalno-oświatowe i zespół muzyczny.

Również miło i z uśmiechem wspominam profesora Leona Kowalczyka, który uczył matematyki. Był człowiekiem szlachetnym i wesołym, z powodzeniem mógłby pracować w dobrym kabarecie, takie miał zdolności.

Kiedy źle poszła klasówka z matematyki, grupa chłopaków wybierała się do domu profesora wieczorem zanosząc zepsuty zegarek i prosząc o naprawę. Pewne było, że profesor nie odmówi i zajety zegarkiem nie zauważył faktu podmiany kartek z klasówką.

Profesor jeździł na studia do Łodzi robiąc drugi fakultet. Przeniósł się później do Chojnowa.

Pamiętam też pracowników obsługi; stolarza pana Cz. Kałużnego, K. Dolatę,

palacza Jędrzejewskiego i kierowcę F. Jankowskiego.

Nigdy nie zapomną profesorów B. i W. Juników oraz M. i J. Kozaków, których spotkałem na

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator
piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

początku lat 70-tych w sklepie w Staszowie.

Mógłbym całą książkę napisać o barwnych wydarzeniach z tamtych lat.

Nadeszły "dni prawdy" - egzaminy maturalne.

Dopisało mi szczęście, pytania nie były trudne.

Stojąc na tarasie pomyślałem, że to koniec wspaniałych beztroskich lat.

Z Piotrkim Grudniem przeszliśmy się kawałeczek kochaną alejką, zastanawiając się,

jaka przyszłość nas czeka.

Marzyliśmy o studiach.

Złożyłem podanie na Uniwersytet Wrocławski na geografię.

Byłem w komfortowej sytuacji, bo zawód już miałem.

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Egzaminy na studia zdałem z wynikiem dobrym, jednak powszechna opinia, że z wyuczonym pięknym zawodem zajmuję miejsce innym, zmobilizowała mnie do szukania pracy, a w tamtych czasach nie było z tym kłopotu.

Najpierw była Fabryka Sklejek w Ostrowie, później Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Konserwacji Urządzeń Wodno-Melioracyjnych, Dział Zadrzewień w Pruszczu Gdańskim

[słynne pasy zieleni nad morzem].

Ostatecznie zwyciężyła wola Rodziców, którzy chcieli mieć syna leśnika.

Trafiłem na staż do Nadleśnictwa Kurozwęki [z siedzibą w Staszowie], do Leśnictwa Mostki,

gdzie leśniczym był ojciec Stasia Markowskiego.

W trakcie stażu, na naradzie stażystów w OZLP w Radomiu spotkałem się

Z I. Kamińskim i P. Grudniem. Staż przerwało Powołanie do wojska.

Znowu spotkałem kolegów szkolnych: K. Świtalskiego, Jędrychowskiego, J. Herbika, J. Szperę. Po wojsku dokończyłem staż i otrzymałem pierwszą samodzielną pracę

W Nadleśnictwie Ruda Maleniecka, a po 13 miesiącach w Nadleśnictwie Golejów,

Wspomnienia Andrzeja Gwizdowskiego

Wpisany przez Administrator

piątek, 04 lutego 2011 22:02 - Poprawiony sobota, 05 lutego 2011 16:06

Leśnictwie Rytwiany, gdzie osiadłem na stałe.

Rytwiany 2005.

***[powyższy tekst to przedruk wspomnień kolegi Andrzeja Gwizdowskiego z książki
"Nauka poszła w las..."]***